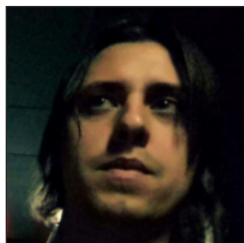


Sztuka zwyczajnego doświadczania. Nowy optymizm w kinie



MICHAŁ GOŁĘBIOWSKI

Eseista, pisarz, historyk literatury, doktorant na Wydziale Polonistyki UJ. Współpracuje m.in. z „Christianitas”, „Teologią Polityczną” oraz „Nowym Napisem”

Nie dostaliśmy kolejnych manifestów naprawy świata, zwidów nienawiści i śmierci, dokumentów z rzeźni. Tarantino i Anderson dali nam w zamian błyski zwyczajnego przeżycia

Czy kultura współczesna, tak mocno przejęta opowieścią o „końcu człowieka”, może się jeszcze czymkolwiek zachwycić? Przywykliśmy przecież do tego, że myśleć, a zwłaszcza myśleć dojrzałe i odpowiedzialnie, to rozpracowywać złożone systemy przemocy, w które ktoś inny dawno temu nas uwikłał. Kontemplacja i odczuwanie zaczynają kojarzyć się z przejawami braku solidarności z ludzkością, która potrzebuje wyzwolenia. Wątpliwe jest także to, czy kultura w ogóle powinna dziś cokolwiek afirmować (a nawet tego chcieć), skoro „był zaangażowany”, którym staliśmy się na własne życzenie, realizuje się przede wszystkim w manifestacjach naprawy tego świata.

Intuicja, czyli życie

Aby odpowiedzieć sobie na te pytania, sięgnąłem po rozważania niemożliwego dziś Henriego Bergsona. W krótkim eseju „Wstęp do metafizyki” francuski filozof przyjrzał się dwóm możliwym sposobom poznania: analitycznemu oraz intuicyj-

nemu. O ile ten pierwszy ogląda świat jako coś będącego na zewnątrz „mnie”, a więc przyjmując perspektywę poznającego umysłu, o tyle intuicja jest już próbą włączenia się i pełnego zaangażowania w nurt życia. Jeżeli zatem spróbujemy przeanalizować rzeczywistość, okaże się, że można na jej temat mnożyć w nieskończoność coraz to bardziej szczegółowe określenia, lecz nie sposób dotrzeć tym sposobem do jej istoty. Dopiero poznanie intuicyjne pozwala na doświadczenie jedności z tym, co daje nam się poznać.

Bergson nie był jednostronny. Wyraźnie stwierdzał, że najlepiej byłoby integrować analizę i intuicję, tak aby jedna wspierała drugą, poszerzając horyzont intelektualnego i duchowego doświadczenia człowieka. Zarazem jednak nie ukrywał, że to do tej drugiej należy przekaz najbardziej życiodajnych wibracji. Stąd już prosta droga do sztuki wrażliwej na to, co sam nazwałbym „doświadczeniem pozytywności”. Mam przez to na myśli dzieła od wielu już lat niemieszczące się w ramach nowoczesnej woli mocy, a w każdym

razie odmienne od tych, które chciałyby odzierać nas z kolejnych złudzeń i nadziei.

Chodzi o kulturę, która celebruje związek człowieka z człowiekiem bez dominacji, okrucieństwa czy pustki. Wszechobecność tych ostatnich próbuje nam wmówić choćby film „Borgman” Alexa van Warmerdama, ponowoczesna przypowieść o włóczędze, który zamieszkuje dom dobrze sytuowanej rodziny, obnażając dobroć jako hipokryzję, a ludzkie relacje jako ukrytą formę przemocy. W końcu pozostaje nam świat, w którym wszystko nosi

Przywykliśmy przeciw do tego, że myśleć, a zwłaszcza myśleć dojrzałe i odpowiedzialnie, to rozpracowywać złożone systemy przemocy, w które ktoś inny dawno temu nas uwikłał

przedrostek „post”: post-człowiek, post-kultura, post-rodzina. Do tego samego nurtu intelektualnego, niepokojącego i mimo wszystko cynicznego w doborze środków wyrazu kina należy „Benny’s Video” Michaela Hanekego: oskarżenie tyleż rodzicielstwa, co idei humanitarnych. Dlaczego mielibyśmy pielęgnować zaufanie i ryzyko bycia przy drugiej osobie, skoro Haneke niemal dokumentalnym okiem patrzy na oblicze psychopaty jako reprezentanta ludzkości?

Może jednak brakuje nam opowieści o nas samych bez transparentu, asekuracji i złowrogiego fatum. Sztuki kontemplującej

życie, ziemię, zapach traw i radość chwili obecnej. Ufnej, że dobra wola jest możliwa i że, mimo całej swojej niedoskonałości, pozostaje dobra. I wreszcie, niepytającej o istnienie rzeczywistości, lecz bezpośrednio ją przeżywającej. Tak po prostu.

Kultura ciepła i dotyku

Rozważania Bergsona na temat analizy oraz intuicji towarzyszyły mi w dniu premiery „Pewnego razu w Hollywood” Quentina Tarantino, a dwa lata później także w trakcie seansu „Licorice Pizza” Paula Thomasa Andersona. Pomędzy tymi filmami wydarzyła nam się pandemia i kolejne lockdowny, które nadały dodatkowych znaczeń oglądanej na ekranie żywej „namacalności”.

Można było wręcz odnieść wrażenie, że te dzieła, przeniknięte słońcem i ciepłem, uczyniły pewną wyrwę w powszechnym odbiorze tego, co istotne i głębokie. Bo zapytajmy wprost samych siebie: czy może być coś ważnego w bieganiu po ulicy, tak po prostu, bez towarzyszącej temu wielkiej idei, ani nawet puenty? „Pewnego razu w Hollywood” opowiada w gruncie rzeczy o przyjaźni Ricka i Cliffa, przebrzmiałej gwiazdy westernu oraz jego kaskadera. „Licorice Pizza” mówi z kolei o Alani i Garym, dziewczynie i chłopaku, którzy schodzą się i rozchodzą, aby zrozumieć, że miłość jest czymś ważniejszym od aktywizmu, interesów, wpływów czy znajomości. Niewiele więcej można napisać o obu filmach. Cała reszta jest bowiem impresją i codziennością, która wprowadza nas, widzów, w doświadczenie intuicyjne.

Tymczasem przyzwyczailiśmy się do tego, że ambitne kino koniecznie musi stawiać przed widownią jakiś społeczny problem. W samej tej powinności nie ma

oczywiście niczego złego. Myślicielem wnikającym w struktury władzy i przemocy był chociażby Erich Fromm, tyle że jego książki nieustannie stawiają sobie za cel człowieka jako istotę fascynującą i godną miłości. Tymczasem dominujące w kulturze najnowszej zwątpienie we wszystko, co tradycyjnie określało nasze człowieczeństwo, i co mogłoby kształtować jakąś przestrzeń afirmacji, z czasem odarło nas z podstawowych nadziei, a następnie poddało w niewolę samej idei podejrzliwości względem wszystkich i wszystkiego. Anderson odwrócił ten stan rzeczy: dwoje jego bohaterów raz za razem biegnie ulicą, przed siebie, czasem lekko dotykając się dłońmi, a przemiany dziejowe pozostają tylko tłem, czymś przemijającym, mniejszej wagi.

W końcu pozostaje nam świat, w którym wszystko nosi przedrostek „post”: post-człowiek, post-kultura, post-rodzina

Można jednocześnie odnieść wrażenie, że najbardziej rozpowszechniony odbiór „Pewnego razu w Hollywood” oraz „Licorice Pizza” dotykał problemu struktury fabularnej, która wbrew dominującym obecnie trendom nie proponuje typowej opowieści z zawiązaniem konfliktu oraz spójnym finałem. Zamiast tego dostaliśmy ponad dwie godziny zmysłowych, płynących i niespiesznych impresji, utyłane ziemią spodnie, powiewające na wietrze włosy i rozmowy o niczym szczególnym. W reakcji pisano o nostalgii do lat 60.

i 70. jako czasu powojennego ożywienia, o liście miłosnym do złotej ery amerykańskiego kina, a w najgorszym przypadku – o banalności, w którą uwikłał się autor pragnący zostawić po sobie także coś, co ma wartość osobistą i sentymentalną.

Zbawcze powiewy

Pojawiła się zatem pokusa, aby widzieć w „Pewnego razu w Hollywood” oraz „Licorice Pizza” rodzaj estetycznego cacka. Gdzieś w tym wszystkim przeoczono jednak istotne przesłanie najnowszych dzieł Tarantino i Andersona. Może dlatego, że zostało ono wpisane w kompozycję filmową nieco inaczej, niż zwykli to robić znani z okrutnych wiwisekcji twórcy pokroju Gaspara Noégo czy Larsa von Triera. Nie dostaliśmy kolejnych manifestów naprawy świata, zwidów nienawiści i śmierci, dokumentów z rzeźni, w której szlachtuje się wszelką wiarę i sens, ani tyrad na temat tego, jak wszyscy jesteśmy brzydki. Nie pokazano nam zimnego, surowego mięsa, do którego rzekomo sprowadza się wartość osoby ludzkiej. Tarantino i Anderson dali nam w zamian błyski zwyczajnego przeżycia. Coś, co ogrzewa, ożywia i wyprowadza na świeże powietrze; nie wygłasza idei, lecz obrazuje doświadczenie w jego najprostszym i najszczerzym wymiarze. I najważniejsze: nie analizuje z dystansu, lecz z ochotą jednoczy się ze światem poprzez Bergsonowską intuicję i empatię.

We wspomnianych tu filmach uderza nie tylko zanurzona w ciele i zmysłach narracja, ale także postawienie na głęboką sensualność człowieka, która prowadzi do bezpretensjonalnej afirmacji rzeczywistości. Nie są to opowieści o wielkich sprawach. Nie mówią o ideach, ani o de-

konstrukcji naszej nadziei i wiary, ani nawet o potrzebie społecznego zaangażowania. Czynią coś wręcz przeciwnego, sytuując wielkie wydarzenia historyczne i społeczne w tle codzienności zwyczajnych postaci z ich zwyczajną egzystencją. Stają się przez to bezczelnie nietematyczne, jeśli przez nietematyczność rozumiemy proste doświadczenie życia zamiast stawiania sobie problemów do rozwikłania.

Jednocześnie oba dzieła mniej czy bardziej świadomie, a na pewno intuicyjnie, dotykały sfery, którą ja sam kojarzę z wielkim tematem odkupienia człowieka. Choć nie są to filmy o tematyce religijnej, w swojej głębokiej strukturze zachowują wrażliwość na łaskę i ocalenie głębokiej, nieporównywalnej z niczym wartości osoby. Ujawnia się to chociażby w zakończeniu „Pewnego razu w Hollywood”, które wielu widzów i krytyków złożyło na karb typowej dla Tarantino postmodernistycznej zabawy konwencją i semantyką. Oto okazuje się bowiem, że – wbrew faktom historycznym – Sharon Tate żyje nadal, nie dochodzi do napaści bandy Mansona na dom Romana Polańskiego, ponieważ zupełnie przypadkiem (i w groteskowych okolicznościach) rozprawia się z nią naćpany

kaskader Cliff. W zabiegu tym należałoby widzieć coś więcej, aniżeli wspólne katarsis, oczyszczenie pamięci za pomocą srebrnego ekranu. To także obraz zwycięstwa życia, Bergsonowskiego *élan*. U Tarantino „lato miłości” trwa nadal.

Zarówno „Pewnego razu w Hollywood”, jak i „Licorice Pizza” powracają do przełomu lat 60. i 70. Może jest w tym jakaś logika, jeśli spojrzeć na epokę dzieci kwiatów, a później disco jako na ostatecznie być może tak wielkie ożywienie w kulturze przed postmodernistyczną dezintegracją sensu. Spoglądam na album hippisowskiej grupy It’s a Beautiful Day, a mój wzrok przykuwa sentencja na drugiej stronie winyla: „dla tych, którzy kochają, czas jest wiecznością”. Czy nie taka właśnie jest narracja obu filmów? Swobodna jak życie, bez kulminacji, odzierania nas z nadziei czy założonej z góry tezy. Przypominam sobie również pytanie wciąż powtarzane przez protagonistę rock-opery Quadrophenia zespołu The Who: „Czy to prawdziwy ja, w momencie, gdy patrzę, jak spadają gwiazdy”. Może to kwestia ważniejsza od wielu innych, bardziej krzykliwych i angażujących. A może najważniejsza.